JAN MIODEK [rec.], *Słownik nazw żeńskich polszczyzny*, pod red. Agnieszki Małochy-Krupy. Autorki haseł: Katarzyna Hołojda, Patrycja Krysiak, Agnieszka Małocha-Krupa, Marta Śleziak, Wrocław 2015, 684 ss.

Gdybym miał wskazać obszar funkcjonowania systemu gramatycznego współczesnej polszczyzny, który od wielu lat wzbudza przeogromne dyskusje społeczne, a nawet kampanie medialne, bez wahania wybrałbym morfologię nazw żeńskich. W ciągu życia jednego pokolenia dokonały się w tym zakresie bardzo ciekawe prze wartościowania użytkowo-normatywne. Lata tużprzedwojenne przyniosły pierwsze opracowania zwracające uwagę na zjawisko maskulinizacji form żeńskich, a kome diowy film zatytułowany *Pani minister tańczy* czy artykuł językoznawcy Eugeniusza Pawłowskiego *Baran mówi o Kowal* można uznać za etykietałne znaki procesów słowotwórczych tamtych czasów. Po wojnie przewidywano z kolei ekspansję konstrukcji z formalnymi wykładnikami żeńskości, a uzasadniano to — nie bez aspektu propagandowo-ideologicznego — zdobywaniem przez kobiety w Polsce Ludowej stanowisk i godności do tej pory zarezerwowanych dla mężczyzn. Tymczasem ewolucja słowotwórcza przebiegła zupełnie inaczej, bo znakiem równouprawnienia stały się u nas formy bezprzyrostkowe, a im stanowisko zajmowane przez kobietę było szlachetniejsze, cieszące się wysokim prestiżem społecznym, tym ta tendencja była silniejsza.

Od kilkunastu lat można zaobserwować wyraźny renesans formacji przyrostkowych. Niektórzy językoznawcy — w tym autor niniejszej recenzji — widzą w tym zjawisku powrót do typologicznych źródeł polszczyzny, któremu tylko sprzyjają ruchy feministyczne, inni — wyłącznie w feminizmie upatrują przyczyn kariery formalnych wyznaczników żeńskości. Jakkolwiek jest, obserwujemy niezwykle ciekawe zmaganie się przeciwstawnych a dopełniających się tendencji, których rezultat jest jednym z najbardziej frapujących zagadnień współczesnej lingwistyki polskiej.

Wychodzi im naprzeciw imponujące dokonanie leksykograficzne — *Słownik nazw żeńskich polszczyzny* pod red. Agnieszki Małochy-Krupy z hasłami autorstwa tejże oraz Katarzyny Hołojdy, Patrycji Krysiak oraz Marty Śleziak. Jak piszą we wstępie A. Małocha-Krupa i M. Śleziak,

nie było jeszcze w dziejach polskiej leksykografii słownika, który gromadziłby wyłącznie nazwy żeńskie, w językoznawstwie określane jako feminatywa. Stawały się one częścią innych publikacji, znajdowały swoje miejsce w wydawnictwach poprawnościowych i normatywnych, traktujących na przykład o tendencjach rozwojowych polszczyzny; nie zebrano jednak dotychczas materiału osobnego, rejestrującego autentyczne, wyekscerpowane z tekstów pisanych użycia nazw żeńskich polszczyzny.

Niepodważalną zasługą autorki i jej współpracownic pozostaje, że zdecydowały się one na podjęcie tego pionierskiego zadania. Wychodząc od typologicznej prawdy o polszczyźnie, że jest ona od stuleci językiem bardzo bogatym pod względem procesów derywacyjnych w zakresie kategorii żeńskości, zwróciły szczególną uwagę na wiek XIX, kiedy prawdziwie rozkwitły tendencje emancypacyjne i narodziła się naturalna potrzeba nowego nazewnictwa funkcji, zawodów, urzędów, które do tej pory były przez kobiety rzadko sprawowane. Zarejestrowane przez słownik feminatywa, kiedyś funkcjonujące jako neutralne stylowo odpowiedniki nazw męskich (typu *docentka, doktorka, profesorka, weterynarka*), pokazują ewolucję odczuć społecznych wobec tych form. Inne — informują o wyeliminowaniu jednego z kiedyś funkcjonujących wariantów słowotwórczych (np. *krawczydni/krawcowa*), jeszcze inne — o wymieraniu części słownictwa, spowodowanym przeobrażeniami kulturowo-cywilizacyjnymi czy wygasaniem pewnych rodzajów aktywności zawodowych (np. *pończoszniczka/pończoszarka*).

Takie ujęcie uznaję za najważniejszy, niepodważalny walor całego przedsięwzięcia: ukazuje ono język w ruchu, w toku ewolucyjnym, przynosząc zarazem bezcenne informacje zarówno o derywacyjnych możliwościach naszego języka, jak i o zmieniającej się powszechnej świadomości społecznej do nich się odnoszącej.

Redaktorka słownika eksponuje jeszcze jeden cel odwołania się do historii — dydaktyczny,

będący — jak pisze — próbą uwrażliwienia i pogłębienia stanu świadomości społecznej na tematy w dyskursie społecznym rzadziej obecne. Wydaje się, że we współczesnym świecie możliwość kształcenia się w instytucjach koedukacyjnych czy udział w wyborach wymagają tylko chęci i należą do sfery oczywistości, niewartej obdarzenia wnikliwą refleksją. A jednak jeszcze sto lat temu był to przywilej nielicznych kobiet. Na kartach emancypacyjnego dwutygodnika „Ster” przeczytać można doniesienia o istotnych — z perspektywy postępujących zmian społecznych — i wyjątkowych wydarzeniach XIX wieku. O niejednym z tych precedensów można się dowiedzieć z artykułów hasłowych niniejszego słownika”.

co jako jego czytelnik i recenzent z satysfakcją potwierdzam.

Badacz powojennych dziejów PRL zobaczy, jak w tamtej socjalistycznej rzeczywistości zasób słownikowy został wzbogacony o leksykę, której przedmiotem była propagandowo sterowana aktywizacja zawodowa kobiet w nowym typie gospodarki państwowej (jak napisałem wyżej, swoiście ją wspierały teoretyczne wstępy do kolejnych wydań słowników ortograficznych!). To był czas *brygadzystek, chlewnistrzyń, giserek, gwinciarek, kolejarzek, ładowaczek, murarek, traktorzystek, zbrojarek i żniwiarzek*. Ale zaczynał się też wtedy okres szybkiego utrwalania się użyć współnoodmianowych — *podpis klienta, podpis bibliotekarza, czytelnika, indeks studenta, zeszyt ucznia* — z nasilającym się odczuciem wyższego prestiżu form męskich odnoszących się do kobiet (*rektor, dziekan, profesor, minister, doktor*). Po roku 1989 przeżywamy czas prawdziwego tygla tendencji morfologicznych i społecznych dyskusji do niego się odnoszących. I ten stan dzieło Agnieszki Małochy-Krupy i jej współpracownic doskonale rejestruje, we wstępie zaś główna redaktorka słownika słusznie zauważa,

jak wielkie emocje wywołują formy żeńskie (gdy na czele rządu stała Ewa Korpacz, cała Polska dyskutowała, kim ona będzie: *panią premier, premierką, premierą?!*, co doskonale pokazuje, jak się dialektycznie dopełniają przeciwstawne tendencje morfologiczno-społeczne w tym zakresie).

A skoro o wstępie słownika mowa, należy podkreślić, że został on napisany bardzo sprawnym, a zarazem niezwykle przystępnym językiem. Przynosi on najistotniejsze informacje historycznojęzykowe odnoszące się do feminatywów i opisuje derywacyjne procesy związane z tą kategorią, odsłaniając zarazem możliwości przetwórcze słów. Jest zarazem opisem warsztatu pracy leksykografa, dzielącego się szczegółami swej procedury badawczej i rejestracyjnej. Informacje na ten temat zawarto w podrozdziale zatytułowanym *Mapa poznawcza artykułu hasłowego*. Z punktu widzenia odbiorcy to najważniejsza część każdego słownika. Z pełną odpowiedzialnością stwierdzam, że w wypadku tego omawianego dokonania mamy do czynienia z bezdyskusyjną merytoryczną kompetencją autorek, tytułowa zaś *Mapa* jest naprawdę przejrzysta i klarowna.

Bardzo dobrze się też stało, że Agnieszka Małocha-Krupa zdecydowała się na poświęcenie kategorii potoczności osobnego podrozdziału swego wprowadzenia. To w gruncie rzeczy wokół potoczności właśnie toczy się cała merytoryczna i psycho-socjo-lingwistyczna dyskusja na temat feminatywów, a od stylistycznej kompetencji w tym zakresie zależy coś, co się w teorii komunikacji określa mianem komunikacyjnego szczęścia.

Do części materiałowej dzieła nie wnoszę żadnych uwag, jestem bowiem przekonany, że swoim bogactwem ma ona świadczyć o słowotwórczym potencjale naszego języka. *Nomen omen* — jest on zarazem dokumentacją formacji potencjalnych — tak jak niepodważalna jest jego ogromna wartość społeczna.